

Eksplozja spokoju

Andrzej Poniedziałski, znany i lubiany poeta, satyryk, autor piosenek i spektakli, współtwórca Łódzkiej Piwnicy Artystycznej „Przechowalnia”, a od lat felietonista „Kalejdoskopu”, obchodzi 40-lecie pracy artystycznej. Z tej okazji 10 X w Filharmonii Łódzkiej odbył się koncert, podczas którego jubilat wystąpił przed kompletem publiczności wraz z Dawidem Podsiadłą.

A nam opowiada o swojej niewierze w wenę i o zbawiennej bierności...

Aleksandra Talaga-Nowacka: - 40 lat... Wiele się w tym czasie wydarzyło - na świecie, w Polsce, w pana życiu. Jak to się odbija w pana twórczości?

Andrzej Poniedziałski: - Rzeczywiście byłem świadkiem bardzo interesującego okresu. Jest nawet przekleństwo - obyś żył w ciekawych czasach! Na moich oczach zmieniały się epoki, po wielokroć i w każdej dziedzinie, od politycznej i gospodarczej do obyczajowej. Mam więc ogromny bagaż. Jestem nawet troszkę przeciążony. Ale wspominam wszystko bardzo miło. Jeżeli o twórczości mowa - gdy jest prawdziwa w tym sensie, że można się pod tym podpisać, gdy ma się szczęście żyć w naszym kraju i tak długo, to jeśli napisało się coś w latach 70., to się to sprawdza i w 2015 roku. Bardzo wolno poddajemy się procesowi zmian mentalnych, zachowujemy pewną inercję i dobrze. Dzięki niej jesteśmy zdrowsi.

Ale kolejne pokolenia różnią się od poprzednich. Jak dostosować twórczość do młodszych odbiorców?

- Nie mam takiej potrzeby. Ta epoka jest za szybka jak na mój temperament, więc zgodnie z wychowaniem puściłem ją przodem. Nie obrażam się na nią, nie wygrażam jej, nie utyskuję. To epoka dla ludzi młodych, oni będą w niej żyć i to jest dostateczna kara, po co ja jeszcze będę dolewał oliwy do ognia. Swoje zachowanie określiłbym jako powściągliwy pościg. Próbuję się w niej jakoś zachować, tu się uklonię, tam się uklonię, przy czym nie kłaniam się zbyt głęboko, więc nie mam stałych zmian w kręgosłupie. Na szczęście mam wielu odbiorców, także wśród ludzi młodych. Bardzo mnie cieszy, gdy na koncerty przychodzą licealiści, studenci. Czasem - że się pochwalę - po koncercie podchodzą ludzie i mówią: dziękujemy, że pan jest. Ja wtedy bardzo szczerze odpowiadam: dziękuję, że państwo są. Mój sposób działania na scenie wymaga interlokutora, nawet jeśli on się nie odzywa. To rodzaj intymnych zwierzeń. Nie można mówić czegoś takiego do wielotysięcznej rzeszy na stadionie. Również między słowami jest wiele do przekazania i widzowie to wyczuwają. Póki tacy są po tamtej stronie, to i ja będę.

Pana twórczość jest melancholijna, ale zarazem pełna słownych gier, zabawnych skojarzeń. Moja mama mówi o panu „wesoły smutas”. Jak smutas może być zabawny?

- Wojtek Karolak przezwiał mnie „wulkanem spokoju”. Ja tego nie udaję, to mój naturalny sposób bycia. Moje piosenki nie są najweselsze, niektórzy nawet uważają, że to najsmutniejsze piosenki świata - gdy zaczynałem jako bard w Klubie Pod Krechą w 1975 roku, zauważyłem, że nie można ich podawać w sposób ciągły. W tym, co nazywamy konferansjerką, starałem się wszystko odwrócić, ulżyć piosenkom i tak pojawiły się żarty. Nie da się utrzymać w słuchaczu narastającego, a nawet równego poziomu smutku czy śmiechu. Medycyna uważa, że śmiech to zdrowie. Może i tak, ale człowiek śmiejący się bez przerwy...

Źle się kojarzy...

- I raczej powinien wrócić do wspomnianej medycyny po tabletki. Człowiek rozweselony, rozpogodzony lepiej przyjmie dowolną smutną prawdę. Chociaż ja nie obwieszczam prawd, ja tylko pytam - mam szereg kłopotliwych pytań do siebie i do widza. I to nie są wesołe sytuacje, ale jeśli są przetykane żartami, można z tego wyjść. Moim głównym zajęciem jest czuwanie nad zachowaniem

tej równowagi – żeby ludzie wyszli z jakimś rodzajem nadziei, mimo mojej postury i tego, co mówię.

Niewykluczone, że szeroki sukces zawdzięcza pan telewizji. Chociaż ani telewizja nie kojarzy się z tego rodzaju twórczością, ani pan nie jest telewizyjnym typem.

– Gdy przechodzę koło moich kolegów z kabaretu, z grupy rozśmieszającej, z którymi się bardzo lubimy i wśród których jest wiele inteligentnych, wrażliwych osób – można im zarzucać uleganie chwili, ale na tym polega demokracja, że dla każdego coś miłego – mówią: idzie nasza misja. Pewnie dlatego mnie tam biorą. Dziwna rzecz, bo im jestem smutniejszy, tym częściej mnie biorą. Jako twórca urodziłem się w kameralnych pomieszczeniach klubowych, więc kiedy w tym roku dwa razy przyszło mi zobaczyć ścianę ludzi w operze leśnej w Sopocie i na Kadzielni w Kielcach, to nóżki mi się zatrzęsły. Gdy cały amfiteatr mnie słuchał, byłem szczerze zdumiony.

Czyli jest nadzieja?

– Jest. Wspomniana demokracja na tym polega, że większość ma rację. Ale, jak się okazuje, pozornie. Docierają do nas wieści z masowych imprez, gdzie ludzie nie tyle się śmieją, co rechoczą. Ale taka jest umowa: my się wygłupiamy, a wy się śmiejecie – więc ludzie po to tam przychodzą.

Skoro mowa o kabarecie – jak pan ocenia współczesną polską scenę?

– Jest rozwarstwiona. Gdy wrócić do źródeł, to kabaret był rodzajem lepszej muzy niż na przykład teatr, było tam miejsce i na ponurą pieśń, i na wygłupy. Teraz mianem kabaret określa się wszystko, co się dzieje w okolicach śmiechu. Może i dobrze.

Wydaje się, że dawniej w kabarecie było więcej zadumy.

– Na pewno. W tę zadumę musieliśmy się chować, dziś nie trzeba się chować z niczym. Refleksja miała inną rolę, teraz nie ma na nią czasu, ani powodu, by się pojawiała. Nie wyśmiewam człowieka, bo wiem, że tym kimś wyśmiewanym przez siebie za chwilę mogę być ja. Nie mówię „jesteś głupi”, ale „jesteś nie najmądrzejszy, ale ja nie odstawiam od tego poziomu”. Raczej polega to na pytaniach, jak się zachować niż na mówieniu, jak się zachować. Ponieważ nie zajmuję się wyszydzaniem, stronię od satyry politycznej.

Ona się szybko starzeje. Sytuacja się zmienia i nagle coś staje się niesmaczne.

– Pewne rzeczy, które powtarza telewizja, są nawet bardzo nieprzyjemne. Niektóre osoby już nie żyją. Wyznaję zasadę generała de Gaulle’a „jeśli ty nie zainteresujesz się polityką, ona zainteresuje się tobą”. I tylko w tym stopniu się nią interesuję: staram się wiedzieć, w jakim miejscu jestem, na co się zanosi i jaki jest procent oszołomów u władzy – czy to liczba krytyczna, czy jeszcze można wytrzymać.

Pan nie uważa się za poetę, tylko za autora utworów wierszowanych...

– Poszedłem nawet dalej i w spektaklu „Stacyjka Zdrój” wprowadziliśmy postać poety użytkowego, którego gram. On tłumaczy, że poeta użytkowy to jak pies myśliwski niepraktykujący. Czyli rodzaj pewnego potencjału. Nie zajmuję się pisanem zbyt namolnie – pani tego doświadcza w postaci opóźnień moich tekstów do „Kalejdoskopu”. Nie jest tak, że rano wychodzę na suchego przestwór oceanu, jak pisał prawdziwy poeta, i zaczynam coś obwieszczać. Otaczam się tylko milionem kartek, na których zapisuję jakąś frazę, jakieś słowa, równoważniki zdań. Twórczość traktuję jako próbę zestawienia obok siebie dwóch słów, które do tej pory stały obok siebie rzadko albo nie stały w ogóle. Gdy je otoczyć innymi wyrazami, jest szansa, że pomiędzy tymi dwoma słowami powstanie trzecie, którego nie ma w słowniku, a które coś ze sobą niesie. To ciekawa zabawa, ale przeważnie na tych równoważnikach się kończy. Stos kartek rośnie. Ostatnio likwidowałem jedno z miejsc mojego pobytu i uzbierałem ich trzy pudła po butach. Podejrzewam, że nigdy do nich nie wrócę, ale gdyby odebrać mi tę możliwość kojarzenia, albo gdyby diabli wzięli moją prawą rękę, którą piszę, byłbym bardzo nieszczęśliwy i zostałbym seryjnym samobójcą.

Chyba pan tych kartek nie wyrzucił? Może pan do nich sięgać losowo jak Woody Allen do schowanych w szufladzie pomysłów na filmy.

- Właśnie mam zagrać w sztuce Allena w Teatrze 6. piętro. Zaprosili mnie – zobaczymy, o co tam chodzi.

Czy to, co pan robi w teatrze, jest przeniesieniem na deski twórczości literacko-satyrycznej?

- Nie lubię tworzyć rzeczy bezużytecznych. Działam zadaniowo. Zadania wyznaczam sam, albo wyznaczają je okoliczności, gdy na przykład ktoś zaprosi mnie do realizacji spektaklu. Wtedy się spełniam. Nie wierzę w istnienie weny. Są odpowiednie okoliczności przyrody, taka wilgotność powietrza i temperatura, gdy pisze się lepiej niż kiedy indziej, ale nie ma lepszej weny niż chłód przystawionej do skroni lufy. W teatrze jest możliwość osadzenia wiersza czy tekstu piosenki w konkretnych przestrzeniach. W powietrze już mi się nie zdarza pisać.

Niezwykłą formą twórczości był blog, który pisał pan z Magdą Umer. Wydaje się bardzo intymny.

- Kiedyś, kiedy z komputeryzacją byłem oswojony na tyle, że wiedziałem, jak się otwiera laptop, zwróciła się do mnie Wirtualna Polska, żebym pisał blog. Od syna dowiedziałem się, co to jest. Pomyślałem, że nie jestem w stanie tego pisać tak w powietrze. Muszę mieć interlokutora. Zaproponowałem współpracę Magdzie, z którą już byłem skojarzony poprzez spektakl „Chlip-Hop – czyli nasza mglista laptop-lista”, podczas którego udawaliśmy, że jesteśmy w osobnych mieszkaniach i rozmawiamy za pomocą Skype’a. Magda się zgodziła i podjęliśmy rodzaj korespondencji. To był sposób rozmowy między dwojgiem ludzi, który dziś nie jest taki znowu powszechny. Kategoria rozmowy słabo funkcjonuje. Robiliśmy to kilka lat, aż kolejne władze WP nam podziękowały. Sami też chyba byśmy przestali, bo liczba pojęć, o których warto pisać, jak wolność, miłość, zaufanie, przyjaźń jest skończona, a człowiek nie zmienia się tak szybko, żeby na ten sam temat mieć do powiedzenia coś nowego.

Jakiś czas temu porzucił pan Łódź dla Warszawy...

- Jeżeli porzuciłem Łódź, w której wciąż jestem zameldowany, to nie dla Warszawy. Gdzieś są moje rzeczy – jestem w wieku, że tam dom mój, gdzie tabletki moje – ale nie mam jakiegoś stałego miejsca. Przez lata nauczyłem się otaczania taką kapsułą, zza której mnie widać, a nawet i słyszać. Muszę tak robić, żeby znieść codzienne zmiany hoteli, miejsc. Dom mam wokół siebie. Ostatnio byłem w moich rodzinnych Kielcach, gdzie spędziłem dwadzieścia parę lat młodego życia, i też, poza wyczuwalnym innym składem powietrza i związanych z nim niemal organicznych wspomnień, nie zauważyłem, żebym się tam czuł jakoś sentymentalnie miło. Był taki okres, że chciałem się ustatkować. Miała mi w tym pomóc zaszczytna propozycja pana Gustawa Holoubka, żebym po Wojciechu Młynarskim poprowadził „Scenę na dole” Teatru Ateneum. Miałem szczęście poprzebywać w tym miejscu kilka lat. To był mój pierwszy etat, a miałem ponad 50 lat. Jak moja matka się ucieszyła! Jednak nie udało się. Nie gonię ani za sławą, ani za pieniędzmi. Interesuje mnie raczej filozofia trwania w byciu sobą. To kosztowne, ale daje poczucie niemarnowania czasu. Nie mogę żyć stacjonarnie – musiałbym porzucić ten zawód. W Łodzi bywam. Ciągłe jestem związany z Przechowalnią, będę miał koncert w filharmonii.

Skąd pomysł, żeby na jubileuszowy koncert zaprosić Dawida Podsiadłę? Panowie są nawet fizycznie podobni...

- Kiedyś mi powiedziano, że jest ktoś bardzo podobny do mnie, kto startował w jednym z wyścigowych programów. Zaproszono go jako niespodziankę na mój wieczór autorski. I rzeczywiście, to nie tylko podobieństwo wyglądu. Mamy takie same ruchy, ten sam sposób frazowania. Z sali padło pytanie, czy wiem, co robiłem – tu podano wiek Dawida Podsiadły plus dziewięć miesięcy wstecz. Mama Dawida potwierdziła, że nie mam z tym nic wspólnego. Najlepszym dowodem na to, że to nie mój syn, jest, że on umie śpiewać. Zaprosiłem go, bo trudno przenieść

siebie przez te telewizyjne programy i przez naszą debiutancką scenę, na której się kogoś lansuje, a potem wszystko umiera. Jemu się udało. Dawid jest wrażliwym, inteligentnym, mądrym jak na swój wiek człowiekiem. Okazało się, że on też chciałby poprzebywać ze mną na scenie. Chcę połączyć za pomocą Dawida coś, co wydaje się niezłaczalne – co by było, gdyby Dawid zaśpiewał piosenkę z muzyką Seweryna Krajewskiego i z moim tekstem?

Jakieś plany na kolejne dekady?

– Myślę, że nie zasnę, ale też nie zamierzam harować...